

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 98·80 Marek, Półrocznie 199·60 Mk. Rocznie 399·20 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 8 Marek.

Rok XVII. Kraków, 25. września 1920. Nr. 39.

Wybuch granatu podczas orki



Tragiczny wypadek braci Fijałkowskich w Bilce Szlacheckiej pod Lwowem.

Wybuch granatu podczas orki.

(Do illustracyi tytułowej).

Straszne w skutkach są następstwa wojny. Choć echa jej dawno już ucichły, na każdym kroku widzi się spowodowane przez nią zniszczenie, niejednokrotnie czyha jeszcze w ukryciu poważne niebezpieczeństwo. Miasta i wsie zniszczone, ludność wymordowana lub wysiedlona w inne okolice, pola leżą odłogiem.



Minister dla Poznańskiego w Krakowie: Min. inż. Władysław Kucharski.

Zewsząd wieje pustka i zniszczenie, ślad, że tędy przewaliła się zawierucha wojenna!

I dużo czasu upłynie, nim życie w tych, nawiedzonych wojną okolicach, wróci na normalne tory, nim ludność się pobudzie i zabierze do pracy.

A jeśli która część naszego kraju, to Galicya wschodnia odczuła najbardziej wszelkie okropności wojny. Przewaliła się po niej kilkakrotnie armia carska, nie pożałowali jej „swoi", to jest Niemcy i Austryacy, potem hulała tu hajdamaczyzna, ostatnio siały śmierć i zniszczenie czerwone hordy.

To też i ślady zniszczenia widnieją tu na każdym kroku, niż gdziekolwiek indziej. I czerwony wróg już ustąpił, ale czy nie powróci?...

Powoli, w miarę oczyszczania kraju przez nasze dzielne zastępy z nieproszonych gości, wraca i dawne życie, choć nie tak swobodne, jak to było przed laty... Zbierać niema co, ale trzeba myśleć o przyszłości, aby wyżywić siebie z rodziną i krajowi przyjść z pomocą. Ciągnie też rolnik z pługiem w pole, aby uprawić tę ziemię, którą tak obficie zrosiła krew jego braci i wrogów...

Zabiera się do pracy z ochotą, ale nawet nie przypuszcza, że może jeszcze doświadczyć na sobie okropności wojny, że ona, choć napozór już się skończyła, grozi mu jeszcze niebezpieczeństwem.

Taki wypadek miał niedawno miejsce w Bilce Szlacheckiej nieopodal Lwowa. Rolnicy tamtejsi, bracia Józef i Franciszek Fijałkowscy wybrali się w pole, aby orać ojczystą glebę. W ciągu pracy ostrze pługa natrafiło na leżący w ziemi granat, który skutkiem uderzenia wybuchnął.

Skutki eksplozyi były straszne... Obaj bowiem odnieśli większe uszkodzenia, tak, że w bardzo groźnym stanie przewieziono ich do szpitala lwowskiego, odłamki granatu poraniły też i konie.

Okolice Lwowa to jedno cmentarzysko. Sama ziemia jakby się oburzała, że się narusza spokój tym, którzy w jej łonie snem wiecznym posnęli.

Minister dla Poznańskiego w Krakowie.

W ubiegłym tygodniu bawił w Krakowie obecny minister dla Poznańskiego, inż. Władysław Kucharski.

Jest to znana w Krakowie osobistość, tutaj się urodził i ukończył szkołę realną, oraz rozpoczął studya uniwersyteckie, poczem przeniósł się do Lwowa, gdzie na Politechnice uzyskał dyplom inżynierski. Jakiś czas pracował tamże jako asystent, wreszcie w r. 1912 przeniósł się do Krakowa, gdzie prowadził fabrykę papy dachowej.

Już w czasach studyów żywo zajmował się organizacyą samokształcenia młodzieży, zajmował się gorliwie instytucyami kulturalnemi, organizował bibliotekę Związku Okręgowego T. S. L. we Lwowie.

Politycznie należał zawsze do obozu narodowej demokracyi, z jej też ramienia wszedł jako zastępca naczelnika aprowizacyi do Komisyi Likwidacyjnej, gdzie cały ciężar spraw administracyjnych spada na jego barki. Był on do tego stanowiska o tyle przygotowany, iż przez lat trzy w czasie wojny prowadził cały referat gospodarczy K. B. K., a przez blisko rok Krajowy Urząd Odzieży Ludowej. Przy zamianie Komisyi Likwidacyjnej na Komitet Rządzący p. Kucharski zostaje już szefem wydziału aprowizacyi, a po rozwiązaniu Komitetu Rządzącego jako szef Sekcyi Ministerstwa aprowizacyi obejmuje kierownictwo aprowizacyi całej Małopolski i Śląska. Z początkiem 1920 r. podaje się do dymisyi. Po dwóch miesiącach obejmuje stanowisko wiceministra dla przemysłu, handlu, skarbu i poczt w ministerstwie b. dzielnicy pruskiej w Poznaniu. Po ustąpieniu W. Seydy powierzono mu kierownictwo tegoż ministerstwa w gabinecie Grabskiego, a następnie Witosa.

Jako minister zyskał sobie bardzo szybko p. Kucharski opinię człowieka bezstronnego i energicznego. Przeprowadził on w krótkim czasie reorganizacyę powierzonych sobie urzędów i powoli, ale konsekwentnie przygotowuje unifikacyę tamtej dzielnicy z resztą Polski.

Praca kulturalna w naszej armii.

Wojskowość i cywilizacya, to dwa pojęcia, które jak się dawniej, za c. i k. czasów wydawało, nie dadzą się nigdy ze sobą połączyć, gdyż jedno wyklucza drugie.

A jednak, jak doświadczenie uczy, nie są one tak siebie przeciwne, bo można być żołnierzem, pełniącym bardzo gorliwie swe zawodowe obowiązki, a nie zapominać zupełnie o potrzebach ducha, który praw swych także się domaga.

Praca oświatowa w naszej armii rozwija się też doskonale, a działalność w tym kierunku, jak to już nieraz zamieściliśmy, nie ogranicza się na sferach tylko wojskowych, ale rozciąga się i na miejscową ludność, zwłaszcza w okolicach kresowych, nawiedzonych wojną, pozbawioną tego dobroczynnego światła.

Wojskowość potrzebuje też ludzi, w różnych gałęziach specyalnie wykształconych. W wojennym czasie szkoły publiczne lub prywatne nie mogą zadość uczynić zapotrzebowaniu trzeba więc kursy takie urządzać w polu, choćby nawet w niewielkiem oddaleniu od linii bojowej.

Tego rodzaju czteromiesięczny kurs rachunkowości odbył się w miejscu postoju naszej trzynastej dywizyi. Zorganizowanie jego wywołała nagląca potrzeba.

Armia jen. Hallera prowadziła administracyę i rachunkowość na sposób francuski, z chwilą więc zjednoczenia jej z właściwą armią polską trzeba było także ujednostajnić i manipulacyę w tych kadrach. Ponieważ sił fachowych brakło na razie, a na wyszkolenie ich przez zakłady cywilne liczyć nie można było, postarano się o to w swym własnym zarządzie.

W ten sposób przy komendzie 13 dywizyi piechoty zorganizowano szkołę praktycznej rachunkowości, pozostającą pod wytrawnem kierownictwem p. Walentego Lankosza, urzędnika wojskowego.



Praca kulturalna w naszej armii: Uczestnicy kursu rachunkowości, urządzonego przy 13 dyw. piechoty, z kierownikiem Walentym Lankoszem (X).

Z żałobnej kroniki.



Z żałobnej kroniki: Dr Walenty Staniszewski, b. wicepr. m. Krakowa i dyr. Kasy Oszczędności.

Dnia 14 b. m. zmarł w Krakowie w 61 roku życia po krótkiej chorobie Dr Walenty Staniszewski, adwokat, były wiceprezydent miasta, b. dyrektor Kasy Oszczędności, b. poseł do Rady państwa, a w ostatnich czasach zastępca naczelnika prokuratoryi skarbu w Krakowie.

Ze śmiercią Staniszewskiego ubył naszemu miastu i krajowi człowiek nieprzeciętnej miary. Był czas, kiedy wiele po nim oczekiwano, kiedy widziano w nim jednego z tych, co się wysuną na czoło społeczeństwa. Miał ku temu wszelkie dane. Obdarzony wielkiemi zdolnościami, wyborny mówca, umysł trzeźwy, posiadał nietylko wiedzę prawniczą, ale należał do ludzi encyklopedycznie wykształconych. Dzięki rzadkiej pamięci i interesowaniu się wszelkiemi objawami życia społecznego i kultury, był znawcą historyi, literatury, dziejów sztuki, spraw ekonomicznych i finansowych. Czytał wiele, widział wiele i obserwował wiele. I byłby zapewne zajął pierwszorzędne stanowisko, gdyby nie to, że działalność jego przypadła na czasy ogromnego u nas obniżenia życia publicznego. Naczelnicy stronnictw z wy-

żyn zasad zeszli na niziny prywaty. Zmieniano z dnia na dzień przekonania dla karyery. Wielkie hasła zastąpiono małostkowemi dążeniami. Klika rozdzielała posady i synekury. Wśród tak niezdrowej atmo sfery przyszło Staniszewskiemu brać udział w pracy publicznej. Porwany ogólnym wirem, nie umiał mu się oprzeć, a kiedy chciał iść przeciw prądowi, zabrakło mu poparcia i energii. Zniechęcił się, zraził do siebie. Po gwałtownym przewrocie stosunków pozostał po za stronnictwami. Wszystko to złożyło się na to, że kiedy na kurulnych krzesłach rozsiadają się dziś miernoty, człowiek tej wiedzy i tych zdolności, co Staniszewski, pozostał w cieniu. Nie on jeden — jest takich wielu. Zamiast opowiadać bajeczki o braku ludzi, narzekajmy raczej na nepotyzm, protekcye i owe nieszczęsne klucze partyjne, które w naszem położeniu stanowią zbrodnię stanu, bo podkopującą i osłabiającą organizm państwowy. *B.*

Armia Jenerała Bałachowicza.

W komunikatach naszego sztabu jeneralnego spotykaliśmy się często z pochwalnemi wzmiankami o dzielności partyzanckiej grupy, zostającej pod rozkazami jenerała Bułak-Bałachowicza, a współdziałającej z naszem wojskiem na wschodnim froncie przeciw bolszewikom. W ostatnich czasach doniosły telegramy, że rozkazem polskiego sztabu jeneralnego z dnia 5 września, grupa ta została uznaną za narodową armię ochotniczą, współdziałającą z wojskami polskiemi. Jest to pierwszy jasny dowód ścisłej łączności Polski z Rosyą antibolszewicką i ich wspólnego działania przeciw rządowi sowieckiemu.



Armia jenerała Bałachowicza: „Bohater Polesia", jenerał Bułak-Bałachowicz.

W szeregi jenerała Bałachowicza garną się też bardzo chętnie patryoci rosyjscy, chcący kraj swój uwolnić od czerwonego terroru. Niedawno przeszedł dobrowolnie na jej stronę wojenno polityczny komisarz sowieckiej 58 dywizyi, Mikołaj Stroganow, ogłaszając równocześnie odezwę, wykazującą cały ogrom nieszczęść, jakie spadły na Rosyę dzięki rządom Lenina i Trockiego i wzywający Rosyan, prawdziwie kochających swój kraj, do jak najenergiczniejszego zwalczania bolszewizmu.

Armia jenerała Bałachowicza to dziś jednostka bojowa bardzo poważna, ożywiona pragnieniem zniszczenia bolszewickiej tyranii. Składa się przeważnie z Rosyan, a wódz jej, przypominający bardzo Sienkiewiczowskiego Kmicica, w dziejach obecnej wojny zdobył sobie już niepośledną sławę.

Jenerał Bałachowicz, zwany „bohaterem Polesia", zasłynął swymi niesłychanie śmiałymi wypadami na tyły bolszewickie, przyczem rozgromił i wziął do niewoli 4 sztaby bolszewickie i rzucił panikę w szeregi czerwonej armii, zwłaszcza pod Owruczem. Gen. Bałachowicz jest synem Polki i Białorusina.

Pierwotnie należał on do armii Judenicza i po jej upadku przeszedł się z sześcia tysiącami żołnierzy na stronę polską. Siły jego rosły z dnia na dzień, z czasem miał już pełną brygadę, później dywizyę, dziś oddział jego tworzy już odrębną armię narodowo ochotniczą.

W szeregach jenerała Bałachowicza, pomimo zupełnej jej demokratyzacyi, panuje wzorowa dyscyplina. Wódz, jest bożyszczem swych podwładnych, którzy dlań gotowi są do wszelkich poświęceń, wszystkich ożywia również jedno pragnienie: „śmierć bolszewikom". Symbolem ich jest też trupia głowa.

Jak Bałachowicz i jego junacy dali się już bolszewikom we znaki, najlepszy tego dowód, iż rząd sowiecki wyznaczył za głowę każdego z jego żołnierzy nagrodę pięćdziesiąt tysięcy rubli, a za samego wodza... pół miliona! Nagroda bardzo ponętna, a jednak nikt się dotąd na nią nie złakomił.

Siedzibą sztabu jest obecnie Włodawa.

Z czasów ofenzywy rosyjskiej na Warszawę, głośnem jest zdarzenie, dość nawet humorystyczne, którego bohaterem był jenerał Bałachowicz. Grupa jen. Bałachowicza jest, jak wiadomo, niejednolicie umundurowaną, przeważają jednak uniformy rosyjskie. Otóż kiedy grupa ta weszła do pewnego miasteczka, do jen. Bałachowicza zgłosiło się natychmiast 12 żydów, gotowych natychmiast do utworzenia rządu sowieckiego. Jen. Bałachowicz z początku nie połapał się, ale zrozumiawszy o co chodzi, oświadczył kandydatom na komisarzy, że ich jest za mało, dostarczono jeszcze 6, ale i ta ilość nie zadowoliła jen. Bałachowicza. Powiedział on, że ilość ta jest jeszcze nie wystarczająca, ponieważ jego zamiarem jest utworzenie rządu rewolucyjnego nie tylko dla miasta, ale i dla całego powiatu. Chciwi rządów towarzysze mieli i na to gotową odpowiedź, wyjawili bowiem, że mają w całym powiecie swoich mężów zaufania, którzy mogą stawić się na drugi dzień. Jenerał zgodził się i rzeczywiście następnego dnia zjechało 120 „zaufanych ludzi". Jakaż jednak przykra niespodzianka spotkała owych żądnych władzy mężów. Oto jen. Bałachowicz kazał wszystkich aresztować. Działo się to w Parczewie, gdzie, jak widać, niektóre grupy kiepsko się oryentują w położeniu.

Niemcy znowu przepraszają.

Wybitny polityk niemiecki i były minister Gerlach w artykule ogłoszonym bezpośrednio po wypadkach wrocławskich i katowickich w jednym z berlińskich tygodników, potępia otwarcie działalność hakatystów, twierdząc zupełnie słusznie, iż wyrządziła ona Niemcom daleko więcej biedy, niż przegrana wojna. Dzięki ich pracy, podjętej rzekomo dla dobra narodu, muszą Niemcy ciągle przepraszać i płacić.

Po wypadkach berlińskich w dniu 14 lipca, kiedy motłoch zniszczył narodową flagę francuską, musieli Niemcy udać się w pokorę i uroczyście przeprosić Francuzów, ale, jak się można było spodziewać i jak wówczas zaznaczyliśmy, rozumu ich to nie nauczyło. Upłynął zaledwie miesiąc, powtórzyło się to samo w Katowicach i Wrocławiu.

O zajściu w Katowicach donieśliśmy w jednym z poprzednich numerów z okazyi tragicznej śmierci tamtejszego lekarza, dra Mielęckiego, ofiary krzyżackiego bestyalstwa. Ruch, skierowany przeciw Polakom i Francuzom, zduszony został w zarodku dzięki stanowczej postawie ludu górnośląskiego, któremu wreszcie brakło cierpliwości. Spokój na razie przywrócono, zniesiono już nawet ogłoszone sądy doraźne, czy jednak w najbliższym czasie nie powtórzy się coś podobnego, to pytanie, na które wobec ciągłej zapamiętałej agitacyi niemieckiej trudno odpowiedzieć. A mają do tego jeszcze tyle bezczelności, że będąc sami prowokatorami, przedstawiają się jako ofiary i żądają opieki. Taktyka złodzieja, który uciekając przed pościgiem, woła najgłośniej: Łapaj!... Trzymaj!... Dali jej Niemcy wyraz w nocie, rozesłanej świeżo do Rady ambasadorów do Watykanu i gabinetów koalicyjnych.



Niemcy znowu przepraszają: Pułkownik Blauchard i jen. Gratier, komendant wojenny Katowic w czasie stanu wyjąt.

Za ataki przeciw komisyi i załodze koalicyjnej w Katowicach musiała nastąpić ekspiacya, niezależnie od dania rządowi francuskiemu pełnej satysfakcyi za wypadki wrocławskie. Warunki postawiono ciężkie, Niemcom nie pozostało nic innego, jak się do nich zastosować. Spełniły się bardzo rychło słowa Gerlacha — trzeba było przeprosić i płacić.

Akt przeproszenia międzynarodowej komisyi w Katowicach, głównie zaś Francuzów, jako bezpośrednio i specyalnie dotkniętych, odbył się z przepisanym w takich wypadkach ceremoniałem przy udziale tłumów. Niejednemu z hakatystów pękało zapewne serce z rozpaczy, gdy ujrzał flagę francuską, powiewającą na wieży Bismarka!... Czegoś podobnego nie spodziewał się chyba żaden niemiecki patryota.

Komisya międzynarodowa otrzymała zatem zadośćuczynienia. A teraz kolej na nas. Życia pomor-



Niemcy znowu przepraszają: Uroczyste wywieszenie flagi francuskiej i włoskiej na budynku Komisyi międzynarod. w Katowicach, przy udziale władz miejscowych i wojskowości.

dowanym ofiarom nikt nie wróci, ale sprawcy powinni być wykryci i ukarani. To jednak przychodzi Niemcom z trudnością. W każdym razie, aby

Dra Goldmanna. Nowy rabin gminy postępowej złożył ślubowanie wobec licznie zebranych delegacyj i członków zboru izraelickiego z prezesem Drem

Z uznaniem podkreślamy też wprowadzenie przez Dra Goldmanna języka polskiego w nabożeństwie dodatkowem w postępowej synagodze lwowskiej,



Niemcy znowu przepraszają:

Patrol włoska na ulicach Katowic.

Patrol francuska na ulicach Katowic.

się nazywało, że się szuka winnych, ogłoszono w gazetach, że zastępca dyrekcyi policyi w Katowicach został zasuspendowany z powodu nie ujęcia morderderców ś. p. dra Mielęckiego. Mają zatem i Polacy pewną satysfakcyę, a wiadomy pan z pewnością nic na tem nie straci, gdyż dostanie się na inną, daleko lepszą posadę.

Obiecano także, że policya katowicka ma zapłacić sto siedmdziesiąt tysięcy marek, które zrabowano podczas owych rozruchów w lokalu polskiego komisaryatu plebiscytowego, mieszczącego się w hotelu *Deutsches Haus*. Lokal kompletnie wówczas zdemolowano, pieniądze chyba nie zniszczono, ale zabrał je sobie „na pamiątkę" któryś z pośród wojującej hakaty.

Innej satysfakcyi nie otrzymamy, już choćby tylko z tego powodu, iż Niemcy stale utrzymują, że my jesteśmy napastnikami, a oni nieszczęsnymi, Bogu ducha winnemi ofiarami.

Zaprzysiężenie lwowskiego rabina.

(Do illustracyi na str. 10).

W ubiegłym tygodniu odbyło się we Lwowie uroczyste zaprzysiężenie nowomianowanego rabina



Niemcy znowu przepraszają: Lokal polsk. Komisaryatu plebiscytowego w hotelu „Deutsches Haus" w Katowicach zdemolowany przez motłoch niemiecki w d. 17 sierp. b. r.

Diamandem na czele. Dr Goldmann jest Lwowianinem. Dotychczas pełnił on przez szereg lat obowiązki zastępcy rabina, a, jak stwierdzają zgodnie lwowskie pisma, jest pierwszym, który w synagodze postępowej wprowadził kazania polskie.



Niemcy znowu przepraszają: Flagi mocarstw koalic. na wieży Bismarka.

Ta ostatnia nominacya daje nam sposobność do zaznaczenia, że czas najwyższy, aby i inne gminy izraelickie zerwały z niemczyzną, która może dobrą była za rządów austryackich, a dzisiaj powinna być stanowczo wyrugowana z nabożeństwa dodatkowego. Albo Żydzi są Polakami mojżeszowego wyznania, obowiązuje ich zatem język polski, albo, o ile uważają się za odrębną narodowość, mają też i swój język, hebrajski, ale nie niemiecki lub żargon, który jest tylko wykoszlawioną niemczyzną. Żydowscy działacze narodowi powinni wpływać w tym kierunku na najszersze sfery i uświadamiać je obywatelsko, by doprowadzić do zgodnego współżycia z ludnością tubylczą, mającą prawo żądania, aby raczej miejscowość do niej się zastosowała, a nie ona do miejscowości. Tworzenie zaś państwa w państwie i do tego z tak nam wrogim językiem narodowym, bo za taki niemiecki uważnąją, do tak pożądanej zgody nie doprowadzi.

uważając go za zwrot prawdziwego postępu i dążności do zacieśnienia, a nie zerwania nici, jakie powinny łączyć napływową dziatwę Izraela z ludnością stale tu osiadłą.

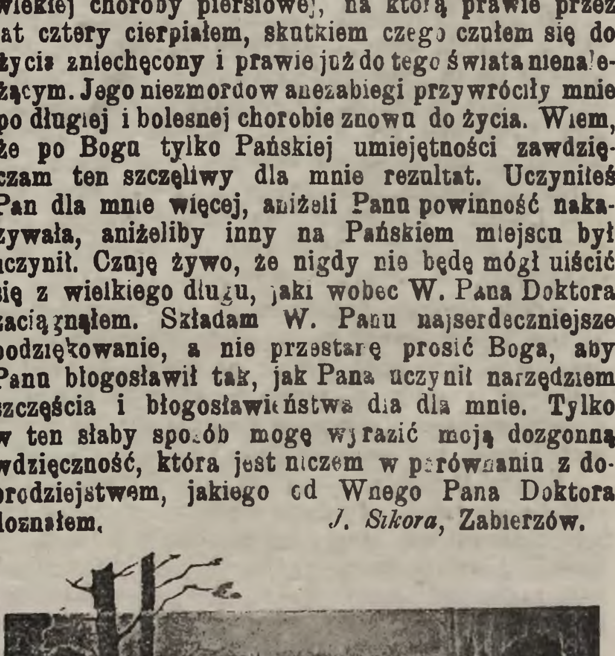
Od wydawnictwa.

Szanownych P. T. Odbiorców prowincyonalnych prosimy o wyrównanie zaległych rachunków, w przeciwnym razie wstrzymamy wysyłkę.

KAŻDY POLAK POWINIEN SUBSKRYBOWAĆ POŻYCZKĘ ODRODZENIA!

Podziękowanie.

Serdeczne podziękowanie składam Panu Doktorowi Kazimierzowi Piotrowskiemu z Krakowa z ul. Długiej Nr 60 za wyleczenie mnie z ciężkiej i przewlekłej choroby piersiowej, na którą prawie przez lat cztery cierpiałem, skutkiem czego czułem się do życia zniechęcony i prawie już do tego świata nienależącym. Jego niezmordowane zabiegi przywróciły mnie po długiej i bolesnej chorobie znowu do życia. Wiem, że po Bogu tylko Pańskiej umiejętności zawdzięczam ten szczęśliwy dla mnie rezultat. Uczyniłeś Pan dla mnie więcej, aniżeli Panu powinność nakazywała, aniżeliby inny na Pańskiem miejscu był uczynił. Czuję żywo, że nigdy nie będę mógł uiścić się z wielkiego długu, jaki wobec W. Pana Doktora zaciągnąłem. Składam W. Panu najserdeczniejsze podziękowanie, a nie przestanę prosić Boga, aby Panu błogosławił tak, jak Pana uczynił narzędziem szczęścia i błogosławieństwa dla mnie. Tylko w ten słaby sposób mogę wyrazić moją dozgonną wdzięczność, która jest niczem w porównaniu z dobrodziejstwem, jakiego od Wnego Pana Doktora doznałem. *J. Sikora*, Zabierzów.



MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

10 I.

— Na co?

— Na to, co jest ci wiadomem.

— Ah! Różo, kiedy ja wiem!

— Trzeba mieć więcej odwagi.

— Ojciec mój! ojciec!

— To będzie dla twojego dobra. On sam przyznać to będzie musiał.

— Cierpieć będzie.

— A jednak zdecydować się trzeba — powtórzyła stara.

— Później... później.

— Im dłużej ociągać się będziesz, tem ciężej ci będzie.

— Brakuje mi sił, Różo.

— Proś o nie Boga.

— Proszę o nie zawsze... Napróżno... Ah! zmęczona już jestem, idź spać Różo.

— Dobranoc gołąbko.

— Dobranoc.

Rachela pozostała sama. Raz jeszcze, dłużej niż poprzednio wzrok jej zatrzymał się na portrecie matki. Przechodziła ona straszną chwilę i wracała się teraz ciągle do jej obrazu, chcąc czerpać z niego nadzieję i otuchę. Lecz czy matka ta, która jak mówił Mojżesz Kabib spoczywała na małym cmentarzu w Niemczech — kochała swą córkę? Przypominała sobie z trudem tę twarz przepiękną o szlachetnym wyrazie, której była słabem odbiciem. Widziała tę twarz bladą, uduchowioną i ręce białe, długie, delikatne, ręce księżniczki z bajki, a nie dłonie pracownicy, jak mawiał Mojżesz Kabib. Lecz wspomnienie to, było takie dalekie, widzenie blade przeżyte w zamku jakimś, zagubionym pośród pól szerokich, pokrytych śniegiem. A potem w pamięci Racheli uczyniła się wielka, ciemna próżnia, po której znalazła się znowu sama z ojcem w Rzymie, w którym spędziła lat dwanaście. Obecnie kończyła rok dwudziesty.

Ilekroć pytała ojca o matkę, mieszał się i smutek głęboki pokrywał jego twarz pomarszczoną. Opowiadał jej często, że matka jej umarła w czasie ucieczki ich do Polski i że pogrzebaną została w małem miasteczku w Niemczech.

Lecz parokrotnie stary Mojżesz poruszony wspomnieniami, dochodził do zwierzeń dziwnych i tajemniczych, tak, jak w wieczór dzisiejszy. Mówił wówczas o bogactwach wielkich, zabawach i życiu królewskiem. Wspominał o Sarze Kabib, jak o istocie żyjącej, a nie zmarłej już dawno, a później czynił sobie wyrzuty, że dał się przez słabość pociągnąć na drogę zwierzeń. Ale na Racheli czyniły one zawsze bardzo silne wrażenie i pomału w umyśle jej powstało przekonanie, że matka jej żyje jeszcze. A więc jeżeli tak było, gdzie przebywała? co się z nią działo? Dlaczego opuściła jedyne dziecko i starego męża? I dlaczego Mojżesz Kabib nie poszukiwał jej, jeżeli kochał ją tak niegdyś? Stary Mojżesz od lat dwunastu nie opuszczał Rzymu i żył tu samotnie i nędznie. Jedyną tajemnicą jego życia, był stosunek jego i znajomość z Marcusem Hennerem, mistrzem.

Rachela wierzyła silnie w urok czarodziejski miłości. Dokąd życie jej upływało monotonne i smutne, lecz bez wielkiego bolu i rozpaczy w wąskiej uliczce ponurego Ghetta, zdawało jej się, że miłość jej matki, tak fantastycznie oddalona od niej, nie powinna była ujawniać się jeszcze; ale odkąd życie jej stało się jednem pasmem dni ciężkich i niebezpiecznych, wyobrażała sobie, że matka opuścić jej nie może i że zjawi się dnia którego, aby jej nieść pomoc i pociechę.

Portret Sary Kabib, do którego tak gorąco modliła się Rachela, zbladł był już bardzo. Tylko oczy zachowały żywy, przenikliwy wyraz i zdawały się spojrzeniem potwierdzać gorączkowe oczekiwanie córki.

— Matko oh! matko moja! jeżeli żyjesz jeszcze przybywaj do mnie. Jeżeliś umarła, módl się do Boga za mną — błagała Rachela, klęcząc przed portretem matki.

Każdego wieczora Rachela z oczami utkwionemi w portret matki, wznosiła do niej prośby swoje i błagania, nie czując łez, które dwoma obfitemi strugami spływały po jej pobladłej twarzy. Tej nocy jednak podniecenie jej doszło do kulminacyjnego punktu. Godzina była późna, cisza zalegała dom cały. Wszystkie nerwy dziewczyny drżały pod wrażeniem sceny z ojcem i zwierzeniach poczynionych przez Różę.

— Matko — błagała Rachela coraz goręcszym, zrozpaczonym głosem, przybądź mi z pomocą. Nie opuszczaj mnie w tej strasznej, niebezpiecznej chwili!

I nagle w ostatecznem naprężeniu nerwów, zdało jej się, że z portretu spojrzało na nią żywe spojrzenie ciemnych oczu, że piękne, blade usta uśmiechnęły się naprawdę i dobiegł ją głos wyraźny choć cichy, tak dobrze jej znany:

— Oto jestem.

Głuchy okrzyk wydarł się z piersi dziewczyny i bezwładnie przechyliła się w tył, zemdlona.



Pewnego dnia jakaś stara, nędznie ubrana kobieta oczekiwała na niego w bramie hotelu.

Poszukiwanie.

Pomiędzy ogłoszeniami „Trybuny" z dnia 20 stycznia czytać było można następujące słowa:

„Pan, który zapomniał lub też zgubił przedmiot pewien w pociągu, idącym z Neapolu do Rzymu dwudziestego siódmego stycznia o godzinie 3 minut 35 — zwrócić się może o zwrot danego przedmiotu do Hotelu Europejskiego, po wykazaniu dowodów własności".

Ogłoszenie to pojawiło się również w „Popolo Romano" i w „Italii", w języku francuskim. Lecz pomimo, iż powtórzonem zostało przez kilka dni z rzędu, nie dało ono pozornie żadnego rezultatu. Nikt się nie zjawił o zwrot przedmiotu w godzinach wyznaczonych przez Roberta Alimena, który starał się mało wychodzić z mieszkania, oczekując przybycia nieznanego właściciela tajemniczego pudła.

Robert, powodowany ostrożnością nie wymienił w ogłoszeniu nazwiska swojego, zanadto znanego w mieście, portyerowi w hotelu również nie powiedział o co chodzi, chciał bowiem sam przekonać się, czy właściciel uciętej ręki, był rzeczywiście ów tajemniczy podróżny, którego miał w podejrzeniu.

Od owej nocy, w której to zdjęty nieopanowaną ciekawością i pragnieniem, z którego nie umiał sobie zdać sprawy, Robert zdecydował się otworzyć czarne pudełko, dziwny niepokój nerwowy ogarnął go, nie dając mu ani chwili spokoju. On, ten człowiek znudzony i obojętny na wszystko, odnoszący się do wszystkich i wszystkiego z zimnym spokojem, nie znający dotąd ani wzruszenia, ani radości znalazł teraz nagle w sobie zainteresowanie głębokie, dręczący go cel życia.

Ta piękna, delikatna ręka kobieca, tak „żywa" w swojej martwocie uderzyła silnie jego wyobraźnię i serce, nie znające dotąd niepokojów żadnych.

W umyśle jego, poruszonym żywo, pozostało na zawsze odbicie tej uciętej ręki, nie odłączne od obrazu kobiety, do której należała i która jak mu się zdawało zabrać je mogła jaką własność swoją niezaprzeczoną.

Nic w tej ręce nie raziło przypomnieniem śmierci, anatomii, krwawej operacyi chirurgicznej. Była tak piękna, miękka, o kolorycie tak żywym, zachowując w sobie zupełną świeżość i elastyczność ciała ludzkiego, że wszelka myśl smutna o śmierci i zniszczeniu odlatywała od niej daleko. Chłodną była tylko jak marmur, lecz przesiąknięta tak odurzającym niezwykłym zapachem!

Nazajutrz po dokonaniu tego dziwnego odkrycia, Robert Alimena pomimo nocy spędzonej bezsennie, podjął zwyczajny swój tryb życia, lecz umysł jego pochłonięty był całkowicie jedną, jedyną myślą.

Wieczorem spotkał w kawiarni Heliane Love. Zaraz na wstępie zapytała go o pudełko. Bez zmieszania, odpowiedział jej, że nie otwierał je jeszcze i natychmiast zmienił przedmiot rozmowy. Następnego dnia zaś, powiedział jej, że poumieszczał ogłoszenia w dziennikach, w celu odnalezienia właściciela i jeżeli ten sposób nie okaże się dobry — złoży pudło w biurze najbliższego komisaryatu.

— Nie otwierając je — zapytała Heliana.

— Tak.

— To nieostrożność!

— Nie kłopocz się tem — odpart sucho, nie chcąc z nią więcej mówić o tym przedmiocie.

Zresztą pomiędzy Robertem a Helianą nie powinno było zabraknąć tematu do innej rozmowy. Młoda kobieta, zachowywała się wyzywająco wobec niego i kokietowała go zawzięcie, Robert zaś, któremu się podobała, przyjmował jej wyróżnienie dosyć chętnie.

Lecz jak tylko opuszczał ją choćby na chwilę, żywe zainteresowanie się piękną uciętą ręką, powracało zdwojoną siłą. Instynkt jakiś ostrzegał go, aby nie zwierzał się przed nikim, w jaki sposób przedmiot ten dostał się w jego posiadanie i prócz Helianie Lowe, przed którą zdradził się lekkomyślnie, nikt w przebieg tej sprawy nie był wtajemniczony.

Pomimo jednak, iż ogłoszenia porozrzucane przez Roberta pozostały bez skutku, czuł on, że jakaś czujność została rozpostarta zdaleka nad nim, że ktoś szpieguje go ostrożnie, ukryty w cieniu. Kilka śladów naprowadziło go na to przypuszczenie. Pewnego dnia jakaś stara, nędznie ubrana kobieta oczekiwała na niego w bramie hotelu z prośbą w ręce i pomimo iż oświadczył, że chętnie przychyli się do jej prośby, kobieta ta uporczywie towarzyszyła mu aż do mieszkania i płacząc i wyrzekając głośno, nie chciała opuścić progu pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

13

I.

Wsparta na ramieniu swojego towarzysza, Wikta Szulcówna przechodziła obok ławki, mierząc ją pogardliwem spojrzeniem.

Krew zakipiała w Kazi! Tego już było zanadto! Na rozprężone jej nerwy złośliwość ta spadła jak bryzgnięcie lawy gorącej, rozpalając krew w jej żyłach do szału! Nie! Tego upokorzenia, tego wstydu przenieść nie jest w stanie! Ona miałaby się stać pośmiewiskiem, celem szyderczych żartów i kłamliwej litości!?

Drobny jej mózg stanął nagle przed faktem, z którym spokojnie, logicznie zgodzić się nie umiał. Już nie o tamto chodziło, o ten cios, który godził w jej wiarę, wstyd i miłość własną kobiety, bo o sercu nie mogło być mowy — tylko teraz o ten policzek upokarzający, wymierzony z rozmysłem ręką tej znienawidzonej Wikty Szulcówny! Niekiedy w umysłach małych, niedostatecznie myślowo rozwiniętych, zadraśnięcie lekkie większy wpływ wywrzeć może, niż głęboka, bolesna rana.

Kazia nie była już w stanie rozumować. Ogarnął ją szał bezsilnej wściekłości, mącąc wszelkie myśli i pojęcia. Już teraz, każdy jej czyn, każdy jej odruch myślowy, nie kontrolowany mózgiem, mógł być tylko nakazany jakimś głuchym instynktem, w którym wola jej i świadomość nie mogły brać żadnego udziału.

— — — — — — — — —

Tymczasem Gawlikowa w oczekiwaniu na córkę, chmurna i bez humoru, zaczęła się zabierać do przygotowania obiadu. Skryty niepokój nurtował ją, choć przed Kazią i mężem nie zdradzała się ze swojemi obawami.

Była tak zajęta myślą, z czem Kazia powróci do domu, że Olearczykową, która przybiegła po świeże wiadomości, zbyła opryskliwie i poprostu wyprosiła z kuchni, tłómacząc się brakiem czasu na rozmowę.

Około godziny dwunastej zadzwoniono silnie do mieszkania. Gawlikowa pospieszyła otworzyć.

Stała przed nią Kazia zmieniona, blada, wsparta całym ciężarem ciała na jakimś młodym nieznanym mężczyźnie.

— Jestem doktorem — rzekł, wprowadzając Kazię do przedpokoju. — Córka pani zachorowała. Niech pani natychmiast przygotuje łóżko i rozbierze ją. Proszę się uspokoić, najgorsze już minęło.

Gawlikowa osłupiała.

— Co się stało? Kaziu! co się stało? — szepnęła, obejmując córkę przerażonem spojrzeniem, domyślając się odrazu, że poszukiwanie Francuza nie odniosło dobrych rezultatów.

Kazia, czepiając się ścian rękami, przeszła do pokoju, nie wyrzekłszy ani słowa. Ból i osłabienie malowały się na jej twarzy. Z oczu jej przygasłych, bez wyrazu, nic nie było można wyczytać.

Kiedy ułożono ją do łóżka, Gawlikowa zwróciła się niecierpliwie do doktora.

— Niechże mi pan powie, co jej jest. Wyszła całkiem zdrowa z domu...

— Córka pani wypiła jodyny... nie wiem, co ją skłoniło do tego — znaleźli ją zemdloną na ławce na plantach. Ktoś odprowadził na pogotowie... Poczyniłem pierwsze potrzebne zabiegi i odwiozłem ją na jej życzenie tutaj.

— Napiła się jodyny! — krzyknęła Gawlikowa, pochylając się nad łóżkiem. — Kaziu! Co to ma znaczyć! Mówże, bo mi się już w głowie miesza. Chciałaś się otruć, co? Więc ten... Urwała pod rozkazującem spojrzeniem Kazi, która uniosła zmęczone powieki i ręką uczyniła jej znak, by milczała...

— Niech się pani nie obawia — pospieszył z zapewnieniem młody lekarz. — Na szczęście wyciąg jodyny był bardzo słaby. Skończyło się na lekkiem poparzeniu gardła i wnętrzności. Za dwa dni śladu po tem nie pozostanie. Niech pani nie zmusza córki do mówienia i daje jej co godzinę trochę ciepłego mleka. Więcej nie potrzeba.

Zbadawszy jeszcze puls Kazi, wyszedł, odprowadzony do przedpokoju przez Gawlikową, mruczącą jakieś niezrozumiałe słowa.

Kiedy po chwili powróciła do pokoju, gniew jej i niepokój wybuchnęły gwałtownie. Nie mogła się już powstrzymać. Te parę minut przymusowego milczenia kosztowały ją nie mało!

— A więc to tak! — syknęła, patrząc niechętnie na Kazię — truć się chciałaś! I dlaczego? odpowiadaj zaraz! Słyszysz! Na tyle mówić możesz! Czyś ty oszalała dziewczyno! Taki mi wstyd robić? Gadaj zaraz, co jest z Francuzem?



— Wyjechał! — powtórzyła Gawlikowa, dygocąc z wściekłości. — Wyjechał! proszę! I pannę zostawił na lodzie!

— Wyjechał! — szepnęła Kazia z trudem, zagłębiając twarz w poduszkach.

— Wyjechał! — powtórzyła Gawlikowa, dygocąc z wściekłości. — Wyjechał! proszę! I panienkę zostawił na lodzie! Takaś go pewna była! Ani słowa nie dałaś powiedzieć! Według swojego rozumu wszystko robić chciałaś... I teraz co! Wstyd! skandal! Trujesz się jak porzucona, uwiedziona dziewczyna. Na pogotowie cię obcy ludzie prowadzą! Całe szczęście, że cię tu karetką nie odwieźli! Cała Nowa Wieś trzęsłaby się od gadania! Wszystkie kumoszki by się zleciały jak na jarmark i dopiero gadanie, urągowisko gotowe! Taki skandal! taka hańba! I to wtedy, kiedy dzięki mojemu sprytowi ludzie zaczynają nas szanować i za coś mieć! Czyś ty rozum już całkiem straciła, dziewczyno! Dać się nabrać, jak pierwsza lepsza dziewczyna z ulicy!... Oh! Boże! Boże! — jęknęła, opadając bez sił na krzesło — ktoby pomyślał! ktoby pomyślał! I co teraz będzie — co? Ludzie języki rozpuszczą... sama Wikta Szulcówna...

— Ah! dosyć mamo! dosyć! — zbuntowała się Kazia, dźwigając się na poduszkach. — Niech mama tej żmii nie wspomina, bo gotowam drugi raz tak zrobić. Jeszcze się opamiętać po tem wszystkiem nie mogę... Ah! Boże! jaka ja jestem nieszczęśliwa! — wybuchnęła płaczem.

Serce roztajało w Gawlikowej.

Usiadła przy Kazi na łóżku i objęła ją ramieniem.

— No, no, uspokój się! stało się złe, to prawda, ale niema jeszcze o co takie historye wyprawiać! Jak człowiek pieniądze ma, to wszystko się samo układa! Jeszcze nie Francuza, ale hrabiego mieć będziesz, już w tem moja głowa!

— Oh! mamo! mamo! — westchnęła głęboko Kazia — żeby tylko się nikt nie dowiedział, bo nie przeżyję tego...

— Postaram się o to... ojca biorę na siebie... nie ty pierwsza, co zrywasz z narzeczonym... Olearczykową wyuczę, jak ma mówić, żeby do Szulców doszło... Jeszcze ci się Wikta pierwsza kłaniać będzie... Ale pamiętaj, teraz ja ci męża szukać będę... Już jak go z mojej ręki dostaniesz, to możesz być spokojną, że będzie taki, jak potrzeba. Teraz napijesz się mleka i staraj się zasnąć, bo wyglądasz jak nieboskie stworzenie. Urody swojej pilnuj, bo i na to się ludzie biorą. Całe szczęście jednak — zwróciła się od progu kuchni, że ta jodyna nic warta była, prawdziwy „erzatz“ wojenny! Choć raz się na coś to przydało! Byłabyś dopiero nam narobiła!

V.

Tymczasem nadeszła wiosna. Ogrody i planty pokryły się jasną zielenią i różnobarwnem kwieciem. Jasnemi plamami znaczyły się wytworne, bogate tualety kobiet, rozsiadających się jak barwne motyle pod werandami najmodniejszych kawiarń, rozbrzmiewały głosy, podniecone wybuchy bezmyślnego śmiechu, pałały spojrzenia wyzywające, pewne swojego uroku i potęgi.

Miasto, a właściwie pewna sfera ludzi, używała w całej pełni całego przepychu szczodrobliwej wiosny i sytego spokoju niefrasobliwego jutra. Gdzieniegdzie tylko pośród twarzy zaróżowionych zadowoleniem, pośród kosztownych, bijących w oczy strojów, francuskich modeli ekscentrycznych kapeluszy, przesunęła się szara, skromna sylwetka, błysnęła twarz wybladła o wytwornych, szlachetnych rysach, padło spojrzenie głębokich oczu, przyćmionych mgłą smutku i goryczy... Ale była to tylko maleńka plama, mało znaczący dysonans, na który nikt nie zwracał uwagi.

Roześmiana, dobrze odżywiona żona czy córka potężnego finansisty i paskarza, błyskając kolią brylantową lub licznymi pierścieniami, wiążącymi krótkie, tłuste palce, pochylała się tylko ku towarzyszce, szepcąc coś z drwiącym, ironicznym uśmiechem, wysyłając za znikającą szarą sylwetką spojrzenie nabrzmiałe wyzywającą dumą, w którem jednak baczniejszy obserwator dostrzec by mógł odcień ukrytej zazdrości i niechęci.

I życie znowu płynęło dalej wszechwładną, różnorodną falą, dla jednych dobrotliwe i łaskawe, dla innych zaś zimne, obojętne i wrogie.

Dla rodziny Gawlików chwilowy kaprys losu okazał się bardzo wspaniałomyślnym.

Gawlik, porwany wirem szumiącym wokoło niego, oszołomiony, trawiony ciągle podsycaną przez żonę gorączką ambicyi i wzniesienie się za jakąbądź cenę ponad poziom zwykłego zjadacza chleba, przystępował do urzeczywistnienia coraz to nowych, złotodajnych interesów.

I wiodło mu się nieźle na razie.

Dnie całe spędzał po kawiarniach, które w owym czasie stały się rynkiem zbytu wszelkiego kupna i sprzedaży, mało pokazując się w domu, gdzie Gawlikowa z Kazią oczekiwały niecierpliwie na niego.

Już teraz Gawlik nie był ostatnią, lecz pierwszą osobą w rodzinie. Gawlikowa słodka, nadskakująca, kręciła się koło niego, czujna na najlżejszy objaw zniechęcenia z jego strony, podtrzymując w nim umiejętnie niezdrową gorączkę i energię, rzucając ciągle przed jego oczy coraz to nowe, nęcące obrazy rozkosznej przyszłości.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM I.

18

— Oh! Oh! Czasem bywają nawet w takich miejscowościach jak ta: jeden z moich znajomych był w Biskre i mówił, że tam jest kasyno.

— Spojrz na to Ruby! To lepsza niż jakiekolwiek kasyno! — czy nie znajdujesz?

Skręcili na lewo i doszli do brzegu rzeki. Cały Nil płynął złotem, na którym gdzieniegdzie ukazywały się bie fioletowe i czerwone jak skrzydła flamingów fale. Czyste i jasne niebo, zatopione w migotliwem świetle, czyniło wrażenie drgającej życiem istoty. Dalekie drzewa palmowe, wysokie brzegi rzeki w jej górnym biegu, ptaki lecące na południe, nietoperze zataczające swe kręgi wokoło wielkich kolumn świątyni, łodzie z rozpiętemi łacińskiemi żaglami, płynące w górę Nilu, wszystko to, wyglądało jak czarne klejnoty, na tle gorejącego złota. Wyszczerbione góry Libii, wznoszące się nad Tebami i grobami dawnych królów, stały jak widmowe straże, na swych posterunkach, dopóki ta wspaniałość nie przyjdzie.

— Czy to nie zachwycające Ruby?

— Tak — rzekła zachwycające!

Szczerze to myślała, lecz pył na jej włosach i sukni, znużenie, które zdawało się przylegać do jej ciała, jak pajęczyna do drzewa, powstrzymywały ją od okazania zapału, któryby podniecił jeszcze więcej zapał Nigla. Dodała jednak ciepłym głosem:

— Cudowne! to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam!

Uchyliła welonu i podniosła rękę do włosów. Dwóch Francuzów, głośno rozmawiając, przeszło drogę.

— Nie wiedziałam, że zachód słońca może być tak cudownym!

Wciąż dotykała swych włosów, i czując, że są zapylone, z żywem uczuciem próżnej kobiety, które od dwudziestu czterech godzin nie widziała wnętrza ubieralnego pokoju, zapragnęła pożegnać i zachód słońca i męża.

— Gdzie willa, Nigel?

— Nie dalej jak za dziesięć minut.

Jęknęła w duchu, lecz rezolutnie poszła naprzód. Przechodząc obok „Winter Palace Hotel“ — rzekła:

— Jaki wielki hotel! — Lecz zamknięty!

— Wkrótce go otworzą. Musimy skręcić na prawo, otó tutaj.

Kilka szczurów biegało po nierównych kamieniach nad rzeką, z małej przystani w pobliżu, dał się słyszeć ponury pomruk maszyny.

— Gdzie mnie prowadzisz, Nigel? To pułapka na osy.

— Wszystko dobrze. Zaczekaj chwilkę, oto pałac niemca. Czy idę za prędko dla ciebie Ruby?

— Nie, nie.

Pospieszyła naprzód. Całe jej ciało wołało o ciepłą wodę, z pewną rozpuszczoną w niej esencyą, o zmianę pończoch i obuwia, o teagown i sofę ze stojącym przed nią stolikiem do herbaty, o tysiąc i jedną rzeczy, o których on nie miał pojęcia.

— Nareszcie jesteśmy! — zawołał.

Wysoki, przyjemnej powierzchowności młody chłopiec w szerokiej, fałdzistej, złocistego koloru szacie, nagle się przed nim ukazał, trzymając otwartą bramę, przez którą weszli do ogrodu.

— Hulloh! Ibrahim! — zawołał Nigel.

— Hulloh! mój panie! — odpowiedział chłopiec, schylając swą postać przed Mrs. Armine i ręką dotykając się turbanu. — Jestem Ibrahim Ahmud, my Lady, specyalny służący, nazywany Dragomanem Lorda Arminigel. Umiem odczytywać hieroglify i jestem zawsze wesoły i młody.

Wziął prawą rękę Nigla, pocałował ją i trzykrotnie przyłożył do swego czoła, uśmiechnął się i spojrzał ukośnie w dół.

— Jestem zawsze wesoły i młody — powtórzył łagodnie i znacząco. Zerwał z krzaku pęczek róży i włożył go między swe białe zęby, poczem zaprowadził swych państwa do białego domu, stojącego w ogrodzie, o jakie sto jardów w głębi.

— Jaki miły chłopiec — rzekła Mrs. Armine.

— Był przedtem moim dragomanem.

Mrs. Armine ujrzała płaską przestrzeń brunatnej, wyschłej od słońca ziemi, zupełnie pozbawionej trawy. Była podzielona na zagony, na których rosły małe, pomarańczowe drzewa, mimozy, róże i geranie. Z trzech stron otaczał je ziemny wał, a z czwartej Nil.

— Czy to nie piękne, miss? -- rzekł Ibrahim.

Mrs. Armine zaczęła się śmiać.

— Bierze mnie za starą pannę — rzekła — czy to komplement, Nigel? — Ibrahim — dotknęła się jego szaty — czy zechcesz mi dać tę różę?



I już go oczarowała. Biorąc różę, którą jej podał, czyniąc salaam, rozweseliła się zupełnie.

— My Lady, dam pani wszystko, czego pragniesz.

Już go oczarowała. Biorąc różę, którą jej podał, czyniąc salaam, rozweselila się zupełnie.

— Wszystko, czego pani zapragnie, mieć musi — ciągnął poważnie Ibrahim.

— Ibrahim czyta swoje myśli, jak prawdziwy syn Wschodu — rzekł Nigel.

— Czego ja teraz pragnę, to kąpieli — zauważyła Mrs. Armine, wąchając różę.

— Rzućmy jeszcze jedno spojrzenie na Nil z naszego ogrodu — zawołał Nigel.

— Lecz ona stała już przed domem.

— Nie mogę się kąpać w Nilu. Do widzenia Nil.

Zanim zdołał słowo przemówić, przeszła przez małą terasę, weszła przez oszklone drzwi i znikła w głębi domu.

Ibrahim uśmiechnął się, pochylił głowę i szepnął niskim, kontraltowym głosem:

— Żona Lorda Arminigel, ona nie pragnie więcej Ibrahima, nie pragnie Nilu, pragnie być sama.

— Wstrząsnął głową, westchnął i znacząco powtórzył:

— Pragnie być samą. Zostawmy ją na chwilę i chodźmy spojrzeć na złoto.

Tymczasem, wewnątrz domu, Mrs. Armine niecierpliwie wołała na służącą:

— Przez litość, rozbierz mnie. Jestem cała zakurzona, wyglądam okropnie. Czy kąpiel gotowa? — zapytała dziewczyny, która przybiegła i prowadziła ją do dużego, sypialnego pokoju.

Dziewczyna, nie ta z zaczerwienionemi oczyma, którą Nigel widział w Savoy, wzruszyła wąskimi ramionami i rozłożyła swe małe, zręczne ręce:

— Gotowe, Madame, lecz woda! — oh, la, la!

— Co się stało? O czem mówisz?

— Woda jest koloru czekolady, którą Madame pije rano.

— Ah! — zawołała Mrs. Armine prawie w rozpaczy.

Rzuciła się na krzesło, obejmując spojrzeniem cały pokój. Był on urządzony przez chorego na płuca, bogatego Francuza, który tu mieszkał ze swą kochanką i niedawno umarł w Kairze.

— Przynieś mi lustro z mego neceseru i uwolnij mnie od tej sukni.

Marie pospieszyła przynieść lustro, w które po zdjęciu welonu i kapelusza Mrs. Arminie długo i uważnie patrzała.

— Niema kobiecej usługi, Madame.

— — — — — — — —

— Cała tutejsza służba składa się z mężczyzn Madame, i wszyscy są czarni jak buty!

— Zamknij drzwi do pokoju monsieur i nie gadaj tak wiele. Głowa mi pęka.

— — — — — — — —

— Co robisz? Myślałby kto, że nigdy nie widziałaś gorse u. Nie macaj! Jeżeli będziesz macała, wpakuję cię do pierwszego zaraz jutro rano pociągu z powrotem do Paryża. A teraz gdzie kąpiel?

Marie, marszcząc nos, który wyglądał jak znak zapytania, zaprowadziła do łazienki i z grymasem wskazała na wodę.

— Woda, madame.

— Mon Dieu! — wykrzyknęła Mrs. Arminie. Patrzała na wodę i powtórzyła swój wykrzyknik.

— Aż przykro pomyśleć, że madame...

— Czy wlałaś do wanny „Eeau de para is?

— Naturalnie, madame.

— Dobrze, a zatem — uf!

Wzdrygnęła się ze wstrętu, kiedy życiodajna woda Nilu podeszła jej do piersi, do szyi.

— I pomyśleć, że to wyglądało jak złoto, kiedy staliśmy nad brzegiem — szepnęła.

XII.

Przed dziewiątą, tego wieczoru, kiedy ciemność okryła Nil i mały ogród przed willą, wysoki Nubijczyk, w białem ubraniu, z czerwonym pasem, rozłożył dwa dywaniki na terasie przed oknami saloniku i postawił na nich stolik do kawy i dwa fotele. Początkowo postawił je każdy oddzielnie i poważnie na nie spoglądał, ale się rozmyślił i przysunął jeden do drugiego, przyczem uśmiech rozpogodził jego twarz. Wtem usłyszał poza sobą, na posadzce, lekki szelest sukni, odwrócił się i ujrzał przez okno Mrs. Armine stojącą i rozglądającą się po pokoju — żółto-białym i ładnie umeblowanym i harmonizującym z jasną pięknością, która tak silne czyni wrażenie na czarnym człowieku.

Pomyślał, że jest cudowna. Bladość jej twarzy, delikatny blask włosów, podbiły go zupełnie, a kiedy go zobaczyła i zauważyła z uśmiechem kontrast pomiędzy jego białem ubraniem, czerwonym pasem, a czarnością cery i oczu, które ją tak szczerze podziwiały, przyrównał ją do księżyca, świecącego wśród wschodnich nocy.

Wszedł do domu po kawę, podczas gdy ona wyszła na taras.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Tak się zatem złożyło, że kronikarz, choć wybierał się przed dwoma tygodniami w podróż w różne strony świata, został w Krakowie, a to z powodów, łatwo każdemu zrozumiałych.

Na pierwszym planie była naturalnie podróż do Rygi, aby wejść w bliższe stosunki z przewodniczącym bolszewickiej delegacyi panem Adolfem, synem Abrahama Joffe i dowiedzieć się od niego, ale tak „pod chajrem“, czy sowiety mają wogóle ochotę do zawarcia pokoju, czy też kręcą tylko, sądząc, że im dłużej da się im przewlec sprawę, tem dla nich lepiej. Niestety, codziennie innej treści telegramy pojawiały się w naszych pismach politycznych. Raz doniósł „nasz korespondent warszawski“, że dowiedział się od woźnego prezydyalnego w ministerstwie spraw zagranicznych, że polska delegacya już jedzie, że tezy pokojowe są już przygotowane, sęk tylko w tem, jaką drogę obrać, aby w samej rzeczy dojechać na miejsce, a nazajutrz zaraz pojawia się wiadomość w tem samem piśmie i na tym samym drucie, że „rosyjska delegacya, która już do Rygi wyjechała, stanowczo tam nie pojedzie“, prawdopodobnie z powodu zbliżających się świąt Nowego Roku, Sądnego dnia i Kuczek. Dobrze więc robi polska delegacya, że się zbytnio nie spieszy, a w jej ślady wstępuje i kronikarz i czeka. Zgodzą się, to dobrze, gdy jednak do nas przyjdzie o tem wiadomość, będzie już zapóźno na wybranie się, wobec czego odpada ten kierunek podróży. Zostaje zatem droga do Aix-les Bains, gdzie Millerand miał się zjechać z Giolittim i poruszyć różne sprawy, między niemi zaś i stosunek Koalicyi do zatargu polsko-bolszewickiego i jego rozwiązania.

Zrównoważony człowiek zastanawia się zwykle (a przynajmniej powinien!...) nad tem, co ma uczynić, zwłaszcza, jeśli jest to rzecz większej wagi. A taka jazda do Francyi w celach politycznych, to chyba każdy przyzna, nie byleco! Namyślał się też kronikarz, czy ma się wybrać, czy też nie, a, że się z zasady spieszyć nie lubi, doczekał się w pismach codziennych telegramów, donoszących o tem, że Millerand z Giolittim zjechali się, że rozmawiali w cztery oczy i rzecz prosta, poruszyli w rozmowie bardzo ważne kwestye. Jak się zdaje, musieli dojść do porozumienia, obaj bowiem mieli miny bardzo zadowolone.

Aby się tyle dowiedzieć, nie opłaci się tłuc aż do Aix les-Bains. Zupełnie wystarczy, gdy się człek dowie o tem na „cudzym“ drucie.

I do Paryża nie było jechać po có, ani do Londynu, skąd już Kamieniew-Rosenfeld się ulotnił, pozostała jedynie droga do Szwajcaryi wraz z Millerandem. Trudno przecież narzucać się z swem towarzystwem, skoro sam nie zaprasza do wzięcia udziału w jego podróży.

Pojechał zatem sam, a kronikarz został w Krakowie razem z Weroniką, ciesząc się, że w dniu czternastego września ociepliło się znacznie, co się każe spodziewać, iż, o ile się znowu nie oziębi, będziemy mieli na złość Czechom, Niemcom, Moskalom, Anglikom, Ukraińcom i innym „neutralnym“ przyjaciołom, piękną polską jesień, zagwarantowaną nam w postanowieniach traktatu wersalskiego.

Pogody zaś potrzebujemy koniecznie, aby módz dokończyć zbiorów, potrzebnych nie tylko — raczej „nie tyle“ — dla nas, jak dla przyjaciół i opiekunów. Takie n. p. buraki cukrowe przeznacza się wyłącznie dla zagranicy. Pan Grabski załatwia właśnie pertraktacye handlowe w Paryżu, płaci zaś — cukrem i naftą, bez których obejść się musimy, słodząc sobie żywot sacharyną, a na światłość i to wiekuistą, czekając po najdłuższem życiu.

I teraz dopiero widzimy, jak to dobrze dla nas, że nie otrzymaliśmy karwińskiego zagłębia węglowego. Mielibyśmy kłopot i z węglami, a tak mamy tylko z naftą i cukrem. A i nafta nie jest taka pewna, gdyż dyrektor c. k. Ukrainy, Petruszewycz, utrzymuje, że to, jak można poznać nawet po zapachu, nafta ukraińska! Lloyd George, broniący stale stronę mniejszości (o ile się to zgadza z jego interesami...), jest zupełnie tego samego zdania.

Na razie sami obywamy się bez nafty i cukru (szewc chodzi zwykle w podartych butach!...), płacąc nimi zagranicy, więc też musimy się starać, by było czem płacić, skoro brak nam „złota, srebra oraz miedzi...“

Im zatem pogoda będzie piękniejsza, tem pomyślniejszy będzie zbiór buraków, co zaś za tem idzie, będzie i cukru wiecej, a stosunki między Polską a Koalicyą osłodzą się wybitnie.

Pogody i ciepła potrzeba nam także ze względów czysto osobistych. Na sprawienie ciepłego płaszcza, parasola i kaloszy potrzebny jest nadzwyczajny kredyt w kwocie co najmniej pięćdziesiąt tysięcy marek. Dziennikarz może o tych niedostępnych dlań przedmiotach śnić jeno z taką przyjemnością, jak łysy, gdy mu się zdaje, że go strzygą.

Kalendarz stuletni zapowiada wprawdzie piękną jesień, meteorologowie, tak fachowi jak przygodni, powtarzają to samo, ale tak pierwszy, jak i drudzy mogą się mylić. Przepowiednie meteorologiczne mają to do siebie, że się spełniać nie lubią.

Podniesienie się temperatury przyjęliśmy też z radością do wiadomości i zaczęliśmy się nad tem zastanawiać, komu i czemu mamy ten fakt zawdzięczyć. Jedni byli tego zdania, że te zachodnie wiatry, których ani Czesi ani Niemcy nie mogą powstrzymać, to zdziałały, inni przypisywali to południowym powiewom od strony Węgier, które rade byłyby mieć w Polsce sprzymierzeńca na wypadek dojścia do skutku skierowanej przeciw nim „małej ententy“ (Czechy, Rumunia, Jugosławia). Wątpliwości rozstrzygnął dopiero „Kuryer“, donosząc o pojawieniu się w konstelacyi Łabędzia nowej gwiazdy, nazwanej też *Nova*, należącej do gwiazd światłości drugiego stopnia, a wykazującej na swej powierzchni temperaturę sześć tysięcy stopni.

Czytając o podobnie wysokiej temperaturze, która wystarczy do poparzenia sobie palców lub ugotowania klusek z mąki amerykańskiej (o ile ją kto dostał!...), dochodzi się do przekonania, że tam, gdzie ta gwiazda świeci (a raczej gaśnie, gdyż obecnie liczy się już do gwiazd czwartego rzędu!...) niema ani inspektoratu węglowego, ani Urzędu zaopatrywania ludności w węgiel. Wobec takiej ciepłoty łatwo się obejść bez opału.

I ta właśnie gwiazda *Nova* wpłynęła na podwyższenie temperatury na ziemi i cześć jej za to i chwała, ale zarazem i gorące współczucie, że z drugiej rangi spadła już do czwartej, a, maluczko, zniknie zupełnie z horyzontu i to właśnie wtedy, gdy będzie najpotrzebniejszą...

Zwykły los gwiazdy!... Swieci, świeci, potem gaśnie. Taki los jest udziałem nie tylko gwiazd niebieskich, ale i ziemskich. I ziemskie spadają nieraz coraz niżej i nieraz kończą... w rynsztoku.

To wszystko, co wyżej powiedziano, miało być jedynie wstępem do narzekania na obecne stosunki. Wstęp powinien być krótki, i ten byłby też z pewnością takim, gdybyśmy nie potrzebowali latać po niebie w pogoni za nowemi gwiazdami. Na zakończenie starczy zresztą miejsca.

Narzekaliśmy w ubiegłym tygodniu na zawrotną wprost wysokość cen, które w przeciwieństwie do gwiazdy *Nova* z każdym dniem rosną. Warto się zatem nad tem zastanowić, co też jest tego przyczyną.

Jeżeli się przypatrzymy zbliska obecnemu społeczeństwu, dojdziemy do przekonania, że głównym powodem zwiększającej się coraz bardziej drożyzny, jest wzmagająca się z każdym dniem spekulacya. Dziś handlowi poświęca się każdy, nawet taki, któremu się o tem przedtem ani nie śniło!... Chyba kompletnie niedołężni, lub zbyt bojący się kryminału, nie biorą się do niego. Każdy chce być pośrednikiem, a za to swoje pośrednictwo każe sobie płacić, co znów odbija się na kieszeni konsumenta, muszącego opłacić cały łańcuch mniejszych i większych paskarzy.

Jeśliby kto spytał, czem ci ludzie handlują, odpowiedź łatwa. Wszystkiem, co im wpadnie pod rękę. Kamienice, dzieła sztuki i kosztowności, artykuły spożywcze i t. d. znajdują zawsze odbiorców, nie brak zatem i pośredników ze wszystkich sfer społecznych. Nawet mąż, załatwiający dla swej żony jakieś zakupno, stara się na tem zarobić.

I rodzaj żeński dążył na tem polu do równouprawnienia, a przedstawicielki płci nadobnej zabrały się z całą energią do paska, pośrednictwa i t. d.

Kronikarz miał niedawno sposobność obserwować takiego anioła w spódnicy, który niedziele i święta obraca na ocieranie łez nieszczęśliwym, to jest bierze czynny udział w urządzaniu kwiatków, festynów i t. p., dni zaś powszednie poświęca mniej wzniosłym zajęciom, mającym na celu... interes.

Pewien agraryusz z pod Krakowa, któremu wojna zrobiła bardzo dobrze, nie wiedząc, co zrobić z pieniądzmi, a mając „węch“, że szalenie pójdą w górę, kupił w Krakowie coś ze trzy kamienice. Ale wnet się przekonał, że to zajęcie nie dla niego, użyranie się z magistratem, lokatorami i t. d. i, gdy tylko w samej rzeczy podniosły się w cenie, postanowił je sprzedać. Przyjeżdżał do Krakowa co wtorek i piątek, a z chwilą, gdy się tylko w mieście pokazał, nie odstępowała go gromada pośredników, różnego wieku i wyznania, różnego rodzaju, między nimi ów anioł w spódnicy, o tak miłosiernem sercu. Ale w tym wypadku miłosiernego serca nie okazywał wobec swej ofiary, prześladując go swem ciągłem towarzystwem w obawie, by nie wpadł w ręce innego pośrednika. Ostatecznie kamienice sprzedano, anioł, o ile do tego dopomógł, schował do kieszeni swe honoraryum za pośrednictwo i z pewnością dalej prowadzi podobne interesy, ale już w innych stronach.

„Nieruchomość“, choć tak się nazywa, dzięki obecnym stosunkom rusza się przecież, a nawet „podskakuje“ w cenie, przechodzi bowiem z ręki do ręki, naturalnie po coraz to wyższej cenie i przy pomocy pośredników, którym trzeba za to płacić, więc też i oni, można śmiało powiedzieć, przyczyniają się do ich podniesienia. A jest ono mniejwięcej takie, jak zapałki, które n a r a z i e kosztują t y l k o... dwieście ośmdziesiąt pięć razy więcej niż przed wojną (licząc procentowo, dwadzieścia ośm tysięcy pięćset procent!...) Takich zaś pośredników kupna i sprzedaży jest mnóstwo, zajmują się tym tylko dodatkowo przy prowadzeniu rozmaitych innych interesów, nie dla swej korzyści, broń Boże, lecz aby dopomódz tym, którzy bez nich nie daliby sobie rady.

Na punkcie handlu i pośrednictwa zrównały się też wszystkie stany i zawody. Handlują i spekulują na mniejszą lub większą skalę „prywatni“, urzędnicy, rękodzielnicy i, rzecz oczywista, kupcy zawodowi. „Korzennik“ dostarcza materyi na ubrania i butów, „szmaciarz“ cukru i innych artykułów spożywczych. Widzieliśmy urzędników rządowych, autonomicznych i prywatnych z kieszeniami, wypchanymi próbkami różnych towarów, które oferowali na sprzedaż w imienia innych, większych pośredników. Im dalej na południe tem handel bardziej ożywiony, a główna giełda znajdaje się na Kazimierzu u Spatza, z filiami we wszystkich żydowskich kawiarniach. Słowem, świat dziś jest pod znakiem „paska“. Dawniej używał go proletaryat do podtrzymywania „niewymownych“, chorzy znali paski rupturowe, studenci paski na kołnierzu, jednoroczni na rękawach, a pobożni paski św. Franciszka. Dziś jest pasek ogólnie w modzie, stanowiąc cel życia dziewięćdziesięciu dziewięciu procent ludności.

I gdyby to bodaj taki paskarz ustanowił sobie jakąś granicę i powiedział: „dotąd, a nie dalej!“... Ale on, doszedłszy do upragnionego miliona, paskuje dalej, twierdząc, że „od przybytku głowa nie boli“. Ta zachłanność bywa też często przyczyną katastrofy. Raz się wreszcie spekulantowi noga powinie, dostaje się w objęcia Urzędu walki z lichwą, a przy jego pomocy do kryminału, w którego murach gromadzi się coraz bardziej dobrane towarzystwo, w którem radcy cesarscy i nie cesarscy nie należą do rzadkości.

Aby jednak tam się znaleźć, trzeba „mieć pecha“. Kto się urodził pod szczęśliwą gwiazdą, operuje swobodnie.

Takim pechowcem był pewien urzędnik pewnej krakowskiej instytucyi, którego handel wojenny doprowadził pod opiekuńcze skrzydła św. Michała Archanioła. Gdy jego ojca zapytywano, co ze synem słychać, odpowiadał:

— Nicpoń był zawsze!... Teraz dopiero wziął się do u c z c i w e j pracy, ale widocznie nie ma szczęścia!...

I westchnął z boleścią, święcie o tem przeświadczony, że los skrzywdził jego obiecującego potomka.

Handel nie jest obcy i tym, którzy z urzędu walczą z lichwą i wyzyskiem. Wychodzą oni z założenia, że „kto kościołowi służy, ten z kościoła żyje“. I dobrze im z tem.

To wszystko, co zarabiają w „uczciwy“ sposób pośrednicy, musi zapłacić konsument, ponieważ zaś dochody jego nie zwiększają się w ten sposób, jak ceny najniezbędniejszych do życia artykułów, musi szukać ratunku w wyszukiwaniu sobie innych źródeł dochodu, a jedyną deską ratunku staje się dlań pasek.

Są zatem paskarze z chciwości, ale są i z musu i tym ostatnim można to w ostateczności przebaczyć, bodaj częściowo, boć każde stworzenie ratuje się w kłopocie jak potrafi.

Słyszy się także ciągle narzekania na wyzysk, na jaki narażeni są ci, którzy muszą się zdać na łaskę i niełaskę restauratorów i kawiarzy, to jest ci, którzy własnego gospodarstwa domowego nie prowadzą. Szczupłe ramy niniejszej kroniki nie pozwalają kronikarzowi omówić solidarności naszych restauraterów i kawiarzy prowadzonej w celu wyzysku konsumentów, polecamy ich zatem gorąco Urzędowi walki z lichwą.

Wszystkiemu jednak winien ów nieszczęsny pasek!... I nie przestaniemy stękać, jęczeć i płakać, dopóki się nie znajdzie jakiś nowoczesny Herkules, który zdecydowałby się urwać łeb tej hydrze.

Czekamy nań, jak na zbawcę, ale czy doczekamy się?...

Przedsmak raju bolszewickiego.

Po cofnięciu się bolszewików z terytoryum polskiego, na którem zaczęli już gospodarować po swojemu, mamy dość sposobności przekonania się, jak we właściwem świetle przedstawia się tak zachwalany „raj“ bolszewicki.

Kula i stryczek — to dwa główne środki propagandy bolszewickich idei wewnątrz Rosyi, a zarazem i znaki widome ich pochodu na Zachód, jako posiewców „równości, wolności i braterstwa“. Terroru, który utrzymuje ich jeszcze przy rządach, nie powstydziliby się najbardziej krwawi siepacze carscy, będący żywem zaprzeczeniem haseł wolnościowych.

Wschodnie okolice naszego kraju, które były widownią krótkiego ich pobytu, miały dość czasu na zakosztowanie owego „raju“ i z pewnością doń nie wzdychają. Bolszewicka wolność, to zaprzeczenie wszelkiej wolności, a równość wszystkich stanów illustruje najlepiej rycina, zamieszczona w niniejszym numerze, a pochodząca z niezbyt od Lwowa odległych okolic, gdzie gościły czerwone bandy Budiennego. W takiem „równaniu wszystkich stanów“ są bolszewicy mistrzami...

Prasa codzienna podaje tyle przykładów ich dzikości i okrucieństwa, że poprostu wierzyć się nie chce, aby ludzie zdolni byli do czegoś podobnego — i to ludzie, którzy głoszą się być szermierzami wolności! Najohydniejsze znęcanie się nad jeńcami, masowe mordy bezbronnych, wyłupianie im oczu, zakopywanie żywcem... to wszystko doświadczyła na sobie ludność naszych wschodnich kresów, która też z pewnością otrzeźwieje i pozbędzie się swych bolszewickich sympatyj, jeśli ma jeszcze gdzie który. Groza przejmuje, gdy się czyta wrażenia i przeżycia nieszczęśliwej ludności, która miała sposobność bodaj za krótki czas zakosztować bolszewickiego „raju“.

Oburzenie i pogarda całego cywilizowanego świata musi się stać udziałem sowieckiej Rosyi i jej dyktatorów. Przewidując to, przesłał Cziczerin notę do państw koalicyjnych, w której narzeka na okrucieństwa... Polaków.

Drogę swą znaczą bolszewicy mordem, pożogą i zniszczeniem i to nie tylko bogaczów, którym wypowiedzieli walkę na śmierć i życie, ale i biedaków, w których obronie rzekomo występują. Omawiając ich działalność, wyrażał się w angielskiej Izbie gmin lord Balfour, iż bolszewicy szczycą się tem, że pragną z bogaczów zrobić nędzarzy, choć daleko odpowiedniejszem byłby odwrotne postępowanie „opiekunów proletaryatu“, to jest dążenie, by z ludności robić bogaczy...

A do tego bynajmniej nie dążą, jak świadczy cała ich dotychczasowa działalność i stan, w jakim się, dzięki ich rządom, Rosya dzisiaj znajduje.



Przedsmak „raju“ bolszewickiego: Ofiary bolszewickiego barbarzyństwa w okolicy Lwowa.

Propaganda w najodpowiedniejszym stylu.

Kilkakrotnie już zauważyliśmy przy omawianiu różnych sposobów propagandy, że najodpowiedniejszymi są te, które drogą zmysłu, wzroku, działają na wyobraźnię. Trafnie pomyślany rysunek zrozumie i wytłómaczy sobie nawet najmniej inteligentny człowiek. I dlatego to zwłaszcza bolszewicy taką wagę przywiązują do propagandy obrazkowej i bardzo jej pokrewnej kinematograficznej.

Narzekaliśmy przy tej sposobności, że u nas mało się robi w tym kierunku. Widzimy i podnosimy z uznaniem, że tak nie jest. Działalność naszych artystów rozwija się coraz pomyślniej w tym kierunku i przynosi spodziewane owoce.

Mamy pod ręką kapitalny plakat, pendzla znanego artysty malarza pana Z. Wierciaka. Przedstawia on polskiego żołnierza, trzymającego za kark bolszewika, któremu, jak to mówią, dusza ze strachu siedzi już na ramieniu... i poprostu zdaje się patrzącemu, że ją tam widzi.

Koncepcya tak trafna, a wykonanie tak dosadne, że każdy zrozumieć musi intencyę autora. Taki żołnierz musi zwyciężyć takiego przeciwnika!...

Jakże bowiem przedstawia się ten żołnierz?..

Jest to sobie typ, jakich się codziennie widzi setki w Krakowie, zwłaszcza na przedmieściach. Wesoły, niefrasobliwy, a tyle serdecznego zapału bije z jego szczerych oczu, że mimowoli udziela się i patrzącemu nań, który powiedzieć sobie musi w duchu:

— Chciałbym być na jego miejscu!...

A inny znów twierdzi:

— Nie chciałbym być w roli tamtego!...

Plakat ten, był użyty jako sposób propagandy w dniu przed stawienia, urządzonego przez żołnierzy w Teatrze miejskim im. Słowackiego.



Propaganda w najodpowiedniejszym stylu: Afisz agitacyjny pomysłu art. mal. Zygmunta Wierciaka.

Gdy jeden z nich lub drugi spojrzy na takiego kolegę, który z taką swobodną miną dzierży za kołnierz bolszewickiego łotra, mimowoli powiada sobie, że musi pójść w jego ślady.

A o to właśnie chodziło artyście, który wykonał poprostu arcydzieło, odpowiadające najzupełniej celowi, któremu ma służyć. Taki obrazek obejdzie się bez podpisów i komentarzy, on mówi sam za siebie.

Bolszewicy w gościnie u Prusaków.

Ani Moskwa, ani Berlin nie spodziewały się z pewnością, że taki obrót weźmie bolszewicka ofenzywa na Polskę i tak smutne jej będą skutki. Sojusznicy sowieckiej Rosyi, Niemcy wiele nadziei przywiązywali do zwycięstw czerwonej armii, mającej ich wyręczyć w zadaniu ostatecznego ciosu samodzielnej Polsce. Już się nawet zgodnie nią podzielili, bo pan Trocki bardzo jest hojnym w szafowaniu tem, co nie jest jego własnością.

Prusy przygotowały się już do witania bolszewików, jako zwycięzców, musiały się ograniczyć na udzieleniu im przytułku na swem terytoryum jako rozbitkom, uciekającym sromotnie przed pościgiem polskiej armii. Nie pomogła niemiecka pomoc materyalna ani moralna, czerwone hordy musiały uledz w walce z polskim narodem, który bronił tylko swej własności, po cudzą ręki nie wyciągając.

I właśnie ta armia sowiecka, której zadaniem było zajęcie północnych obszarów Kongresówki, zamknięcie korytarza, wiodącego ku Bałtykowi i zupełnie odcięcie Polski od morza, co głównie leżało w interesie Niemiec, znalazła się w położeniu bez wyjścia. Ona miała odciąć nas od dostępu do morza, tymczasem jej odcięto odwrót, tak, że nie zostało nic innego do wyboru, jak poddać się Polakom lub przejście granicę niemiecką.

I naturalnie wybrali bolszewicy tę drugą alternatywę, wiedząc dobrze, że ich tam czeka serdeczne przyjęcie. Pojedynczo i kupami zaczęto się przekradać do Prus Wschodnich, gdzie wkrótce znalazło się sto kilkadziesiąt tysięcy niedobitków armii pana Trockiego.

Niemcy byliby woleli witać ich w innym charakterze, ale musieli się pogodzić z losem, nie tracąc nadziei, że Rosya sowiecka nie wyrzekła się jeszcze swych zamiarów.

Przyjaciela należy ratować w nieszczęściu, ratowali też Niemcy bolszewików, rozbrajając ich i internując w myśl praw wojennych, ale tylko na na oko, w rzeczywistości zaś ułatwiając im powrót do ojczyzny, gdzie Trocki gromadzi nowe siły. Ta mała część, którą się internuje, to tylko mydlenie oczu, dla zachowania pozoru, *gros* uciekinierów jest już dawno za granicą.

I teraz dopiero widzimy, że Cziczerin mógł mieć racyę, twierdząc, że armia sowiecka będzie gotową do boju za dni czternaście. Wiedział, że swój swemu krzywdy nie zrobi, a utracony materyał wojenny można zastąpić nowym, którego za rosyjskie złoto nie poskąpią nawet niektórzy członkowie Koalicyi.

Dziwnie natomiast brzmią słowa Hindenburga, który oświadczył w jakiemś wywiadzie, że Niemcy o nowej wojnie nie myślą, nie mając wojska nawet na utrzymanie porządku w głębi kraju, gdyż większa jej część musi bronić granic przed niebezpieczeństwem, jakie grozi Niemcom od strony Bugu.

Czyżby Hindenburg był naprawdę ślepy, czy też udaje ślepego?...

Jak odmiennie Polaków traktowali Niemcy, świadczy list oficera Polaka, nadesłany do jednej z krakowskich redakcyi. Opisuje w nim wszelkie udręki, na jakie nasi żołnierze narażeni byli w obozie dla internowanych w Arys, oraz względy, jakimi cieszyli się bolszewicy.

W dziwnem świetle przedstawia się w tym wypadku niemiecka neutralność.

Oto jego własne słowa:

„Jako dowódca 1-go szwadronu jazdy syberyj



Zaprzysiężenie lwowskiego rabina: Dr. Goldman, rabin lwowskiej izraelickiej gminy postępowej.

skiej brałem udział w wielkiej bitwie pod Warszawą i w ofenzywie brygady syberyjskiej na Pułtusk, Przasnycz, Chorzele, mającej na celu odcięcie armii Gaja (4-konna armia sowiecka). Po zajęciu Chorzel zostałem wysłany wraz z 3-cim baonem 1-go pułku piechoty syberyjskiej w pościg za taborom bolszewickim, uciekającym w kierunku wschodnim na Myszyniec—Kolno. Po nocnych walkach zdobyliśmy 70 wozów i 120 jeńców z karabinem maszynowym i rano zajęliśmy Myszyniec.

Tymczasem jednak z tyłu poza nami zdołał wróg przedrzeć pierścień pod Chorzelami i runął całą masą wzdłuż granicy pruskiej na wschód. Słaby batalion, ogarnięty ze wszystkich stron, został momentalnie w puch rozbity, w połowie wzięty do niewoli, częścią wyrąbany, częścią wypchnięty za granicę pruską.

Tu nas natychmiast rozbrojono i obdarto ze wszystkich rzeczy. Nas sześciu oficerów, oddzielono od żołnierzy i powieziono koleją wśród ciągłych wymyślań i obelg, jak *Polnische Schweine, verfluchte französische Schweinshunde* etc. — do Ortelsburgu (Szczytno). Podzielono nas znowu i mnie z moim ordynansem zamknięto w brudnej, wilgotnej, okratowanej ciemnicy, gdzie przesiedzieliśmy, szczękając zębami z głodu i zimna, całą dobę. Rano prowadzono nas znowu przez miasto na kolej.

Na peronie staliśmy jak skazańcy, wśród gradu obelg i pószturkiwań. Straż, która nas pilnowała, nie myślała nas wcale bronić, owszem, na zapytanie rozwścieczonej hołoty czy to Polacy, odpowiadała: *Ja, das sind diese Schweine.*

Na drugi dzień dojechaliśmy do obozu jeńców w Arys. Tam oprowadzano nas wśród tłumów bolszewików jak na urągowisko, przez cały dzień, niby to szukając „polskiego baraku". Wreszcie zamknięto nas w olbrzymiej stajni, razem z końmi bolszewickimi i bolszewikami. Mieliśmy tam przepędzić cały tydzień, leżąc na gnoju i betonowej podłodze wśród głodu i zimna. Bolszewicy mieli zupełną wolność. Chodzili swobodnie po obozie i po mieście; na granicy odebrano im tylko karabiny, przyjechali więc konno i gwarno dzwoniąc szablami i ciągnąc za sobą artyleryę i olbrzymie kolumny podwód, naładowanych zrabowanymi w Polsce rzeczami.

Czego tam nie było! Skóry, materye jedwabne, suknie i kapelusze damskie, fortepiany, gramofony, powozy i bryczki, meble i maszyny do szycia i pisania, dywany i zegary ścienne, poduszki, materace i futra — słowem wszysto, co się zrabować i uwieść dało. Przeszło 30.000 ludzi i koni zwaliło się do obozu, obliczonego na 6000, więc koczowało to wszystko pod gołem niebem, wrzeszcząc, pijąc i bijąc się przy lada okazyi.

Olbrzymie błonia, otaczające obóz, zabite były wozami, końmi, ludźmi, ubranymi tak różnorodnie, że robili wrażenie raczej jakiejś dzikiej ordy rozbójniczej niż wojska. Widziałem Czerkiesów w malowniczych strojach narodowych w twardych „Haligach" na głowie, Kubańców w rubaszkach z pasiastej łowieckiej materyi, komisarza artyleryi w spodniach z żółtego jedwabiu, piechocińca w pepita pniczesach i słomkowym damskim kapeluszu z zieloną kokardą.

Sami oni mówili, że *„Kubancy ciełu Polszu sdieś priwieli"*.

Zaczął się handel. Niemcy mimo całej życzliwości dla bolszewików, nie mogli im dostarczyć żywności, któraby dla tylu tysięcy wystarczyła. Zaczęto wymieniać wszystko na chleb. Za bochenek chleba dostawali Niemcy złoty zegarek z dewizką, pięć metrów materyi jedwabnej lub konia z podwody, za flaszkę wódki powóz na gumach lub konia z siodłem i t. d. W moich oczach sprzedał kubaniec jakiemuś paskarzowi powóz z trójką prześlicznych jukierów za 1200 marek. Ten sam Kubaniec przepił z kolegami te pieniądze w ciągu je dnej nocy i poszedł z nimi rabować sklep, za co został natychmiast rozstrzelany.

Nasze położenie było straszne. Zamknięto nas w tej stajni z myślą, że nas bolszewicy po cichu zarżną. Muszę jednak przyznać, że się na tem zawiedli, bo oprócz Kubańców i komisarzy, którzy nas dręczyli, ogół bolszewików odnosił się do nas dość przychylnie, wyrzekał na wojnę i klął na czem świat stoi komisarzy i komunę, która całą Rosyę do ruiny doprowadziła.

Z usposobienia tej hałastry widzę, że wszyscy już mają tego dość i niech się w jednem miejscu zacznie, to komisarze poginą straszną śmiercią i sowdepia runie równie szybko, jak szybko powstała.

Jeść nam nie dano przez cztery dni wcale, potem po kromce chleba dziennie. Mój ordynans prze-



Bolszewicy w gościnie u Prusaków Broń złożona przez Moskali. **Przyjacielska pogawędka.**



Bolszewicy w gościnie u Prusaków:
Sowiecka kawalerya przechodzi granicę niemiecką. **Bolszewicy przy obiedzie.**

bierał się za bolszewika i kupował za bajeczne sumy czasem trochę chleba, czasem grochu, bolszewicy nam dali trochę koniny i tak ratowaliśmy się od śmierci głodowej. Wreszcie po siedmiu dniach udało mi się wydostać dla siebie i ordynansa cywilne ubrania i uciec. Po wielu niebezpieczeństwach (wrazie przyłapania byłbym rozstrzelany) dotarłem do granicy, i dnia 2 b. m. znalazłem się na polskiej stronie, mając wrażenie, że wyszedłem z piekła lub z jaskini dzikich zwierząt".

Nadesłane.

„HUMOR POLSKI"

Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny.

DO NABYCIA W CAŁEJ POLSCE.

Cena Mrk. 4·50.

Adres Redakcyi i Administracyi :
Kraków Kazimierza W. 95 (Nowa Wieś).



Bolszewicy w gościnie u Prusaków: Oficerowie niemieccy w rozmowie z kozakami.

Trafne rozwiązania naszej wielkiej szarady konkursowej

odpowiadające warunkom konkursu nadesłali w dalszym ciągu — pp.:

293 Bauer Klemens, Skoczów
294 Wołkoski Szymon, Kraków
295 Gromski Antoni, Drohobycz
296 Pietrak Maryan, Lwów
297 Dalewski Sebastyan, Kraków
298 Tarczewski Michał, Lwów
299 Jakubek Edward, Lwów
300 Kottas Marya, Cieszyn
301 Broczkowski Franciszek, Buda brodzka
302 Surzycki Wincenty, Kielce
303 Weiss Henryk, Lwów
304 Hampol Leopold, Warszawa
305 Beck Mieczysław, Brzesko
306 Kurowski Sylweryusz, Piotrków
307 Engel Helena, Wadowice
308 Pucharski Karol, Tarnopol
309 Wolański Seweryn, Tarnów
310 Staniecki Hilary, Dąbrowa
311 Mączkowska Emilia, Łapanów
312 Kondelski Leon, Tarnów
313 Olszowski Paweł, Sandomierz
314 Skowronek Waleryan, Nowemiasto
315 Dudek Henryk, Nowy Sącz
316 Kostecki Jan, Poznań
317 Burych Michał, Janów
318 Herz Leopold, Warszawa
319 Dmochowski Seweryn, Jasło
320 Radomski Klemens, Zamość
321 Bytomski Franciszek Alwernia
322 Biela Karol, Rzeszów
323 Kolarz Henryk, Kraków
324 Wysocki Zygmunt, Podłęże
325 Zallhan Janina, Wkrszawa
326 Irybalski Michał, Łódź
327 Daniec Helena, Wiedeń
328 Ząbski Romuald, Skierniewice
329 Rodzic Henryk, Kołomyja
330 Sobiński Hieronim, Kobierzyn
331 Siwakówna Hermina, Rzedzymichy Małe
332 W. Dr Kazimierz, Socha
333 Rach Ignacy, Cieszyn
334 Lichocki Grzegorz, Sambor
335 Rybicki Michał, Książ
336 Koratowicz Jan, Poznań
338 Szlag Maryan, Lwów
339 Malandowicz Jerzy, Broki
340 Jadowski Stanisław, Wilno
341 Skopińska Marya, Lanckorona
342 Werner Stefan, Lipniki
343 Bortyński Zdzisław, Jasło
344 Mikulski Maryan, Ciechanów
345 Brzostocki Polikarp, Rzeszów
346 Fleem Henryk, Kraków
347 Garbarzyński Michał, Kraków
348 Łącki Zygfryd, Wiedeń
349 Flach Henryk, Lwów
350 Oborski Józef, Lwów
351 Abramowicz Piotr, Kobylany
352 Nowicki Stanisław, Kraków
353 Pruszyńska Marya, Lwów
354 Kozik Leon, Kraków
355 Cholewa Jan, Zamość
356 Żarski Feliks, Lwów
357 Grochowski Winceoty, Miechów
358 Scholz Klara, Biała
359 Iwicki Rudolf, Tarnopol
360 Czyżewicz Jan, Lwów
361 Weszka Stefan, Lusina
362 Hempel Görter, Łódź
363 Gąsiorowski Jerzy, Zakopane
364 Pataszyński Leopold, Kraków
365 Bogucka Marya, Sambor
366 Weiss Leon, Kraków
367 Rosenbaum Dawid, Rzeszów
368 Domagalska Honorata, Kraków
369 Łopatka Jan, Warszawa
370 Cisek Radolf, Zakopane
371 Czyżycki Walenty, Bat. zap. 6 p. a p.
372 Rogalski Zenon, Wadowice
373 Hausner Wiktor, Kraków
374 Oraczewski Hugo, Warszawa
375 Berger Stanisław, Jasło
376 Guzikowski Szymon, Warszawa
377 Jaroszowa Marya, Rzeszów
378 Zagórski Jan, Kraków.
379 Eker Leopold, Warszawa
380 Tylko Marcin, Zawada
381 Urząd pocztowy, Lipa
382 Podobiński Rejmund, Kraków
383 Czerak Roman, Kraków
384 Lisoski Jan, Kołomyja
385 Kobylański Jarosław, Warszawa
386 Dzikowski Ludwik, Jaworów
387 Rylski Marcin, Sokołów
388 Polak Wiktor, Lwów
389 Biskupski Walenty, Górka
390 Prosicki Lodest, Warszawa
391 Dr Waligórski Czesław, Gorlice
392 Łoziński Klemdns, Kraków
393 Müller Stefan, Kraków
394 Omturski Leon, Rawa
395 Gołoński Michał, Jasło
396 Korme Henryk, Kolbuszowa
397 Piotrowski Stanisław, Warszawa
398 Munikiewicz Adam, Kraków
399 Holzer Michał, Kraków
400 Dymek Zygmunt, Warszawa
401 Wilczyński Ksawery, Jarosław
402 Zemanek August, Kraków
403 Solski Tadeusz, Modlinów
404 Wiktor Jan, Sanok
405 Golecki Sylwester, Warszawa
406 Korzeń Stanisław, Kraków
407 Kalicki Michał, Warszawa
408 Ostrożyński Teodor, Piotrowice
409 Żbik Leopold, Nowy Sącz
410 Giżycki Michał, Zakopane
411 Hubicka Barbara, Zawiercie
412. Wajda Władysław, Kraków
413 Taklowski Jan, Kraków
414 Węglarski Henryk, Przeworsk
415 Grabowski Stanisław, Wadowice
417 Srokowski Witold, Kraków
418 Kawecki Henryk, Bochnia
419 Górka Jan, Warszawa
420 Goros Adam, Radymno
421 Wierciakówna Marya, Kraków
422 Bogusz Helena, Zakopane
423 Narzymski Władysław, Kraków

WŁASNY WYRÓB BLOCZKÓW

INKASOWYCH, BIURKOWYCH, KIESZONKOWYCH POLECA PO CENACH NADER PRZYSTĘPNYCH

ADMINISTRACYA „NOWOŚCI ILLUSTROWANYCH"

KRAKÓW, KAZIMIERZA WIELKIEGO 95. TELEFON Nr. 479.

Na żądanie przy większych zamówieniach wydrukowanie firmy dla P. T. Kawiarń, Cukierni, Restauracyi, Księgarni, Składów papieru i Konsumów.

Zamówienia przyjmuje Administracya Nowości Illustrowanych Kraków, Kazimierza Wielkiego 95.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył K. Z., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę miejscowości francuskiej, o której się obecnie wiele mówi:

```
    ■
  – ■ –
– – ■ – –
  – ■ – –
    ■
  – ■ –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
– – ■ – –
  – ■ –
    ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska, 2. Zwierzę drapieżne, 3. Kraj w Ameryce, 4. Imię biblijne, 5. Samogłoska, 6. Owad, 7. Postać z „Pana Tadeusza“, 8. Część budynku, 9. Utwór Słowackiego, 10. Kraj w Afryce, 11. Rzeka w Niemczech, 12. Spółgłoska.

Trójkąt magiczny.

Ułożył A. B., Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko wybitnego rosyjskiego polityka:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — — —
■ — — — — — —
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Miasto w Prusach zachodnich, 3. Miasto w Galicyi wschodniej, 4. Starożytna nazwa Dunaju, 5. Mała izdebka, 6. Przyjaciel Mickiewicza, 7. Francuski ród książęcy, 8. Spółgłoska.

Zgłoskówka.

Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nazwę rosyjskiej instytucyi:

Zakamycze, kareta, pozwy, Czajkowski, wikary.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. Kozłowski, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, ą, c, e, e, ę, g, i, i, i, i, i, k, l, n, n, p, r, ś, w.

Grzebieniówka.

Ułożył Z. R., Rozwadów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko polskiego jenerała:

```
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
—   —   —   —   —   —
```

Znaczenie wyrazów: 1. Utwór Konopnickiej, 2. Powieściopisarz francuski, 3. Imię męskie, 4. Chwast, 5. Ptak drapieżny. 6. Wyżyna w Azyi.

Kryształówka.

Ułożył S. K., Jordanów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, poda nazwisko jednego z zagranicznych przyjaciół narodu polskiego:

```
      ■
    – ■ –
  – – ■ – –
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
  – – ■ – –
    – ■ –
      ■
```

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Stan podobny do śmierci, 3. Imię męskie, 4. Szukany wyraz, 5. Wąż jadowity, 6. Krzew ogrodowy, 7. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Jaworski, Lwów.

Z podanych liter ułożyć tytuł polskiego utworu poetyckiego:

Etna, p, dusza.

REBUS.



Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył S. Kotowicz, Jasło.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą nazwisko polskiego powieściopisarza:

— ola
— awa
— pis
— oła
— ola
— pir
— ola
— awa
— ama
— gor

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) H. Sienkiewicz: „Listy z Afryki“ (2 tomy), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 37.

Logogryf: S, sto, brama, Inn, i, osa, pałac, Strażom, rower, nóż, w.

Zadanie do uzupełnienia: Koła, Omar, pora. Eryk, noga, Hugo, azot, gama, Apis.

Grzebieniówka: Barć, u, doba, i, Eryk, n, noga, y, jota.

Szarada: Ryga.

Bilety wizytowe: Cziczerin, Millerand, Giolitti, Krasin, Bonar Law.

Zadanie do przestawienia: Co kraj, to obyczaj.

Okienko: Wisła. Succi, anioł.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Kamiński Zakopane, J. Kalinowski Poznań, W. Śmiszkiewicz Milówka, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, M. Stachowicz Kraków, S. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, M. Kuczyńska Warszawa, L. Bogucka Warszawa, M. Lewińska Stanisławów, Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, M. Ostrowska Lwów, K. Zieliński Zalesie, K. Grabski Jasło J. Nowacki Lublin, R. Cielicka Łódź, J. Martynowicz Kielce, W. Lasocki Kraków. S. Sokołowski Lwów, J. Jaworski Lwów, M. Cichocka Sambor, M. Kamiński Zakopane, J. Meyer Lwów, K. Dębiński Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadów, M. Gross Wadowice, S. Bielecki Przemyśl, K. Kucharski Jasło, D. Rosenbaum Rzeszów, J. Krajewski Kraków, H. Unger Lwów, M. Waszkiewicz Lwów, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, M. Hanasiewicz Stanisławów, S. Zakrzewski Sandomierz, J. Gross Bochnia, W. Rączyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, . Lipski Wiedeń, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, K. Nowak Sambor, Z. Walkowski Rawa, J. Winter Biała, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, J. Boczarski Lwów, M. Weryński Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków. K. Grzybowski Kraków. S. Zajączkowski Rzeszów, J. Fritz Lublin, M. Fijałkowska Kielce.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) K. Zieliński, Zalesie książka), 2) J. Kaczyński Kraków (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. 50 fen. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

„DERMA“ Używajcie tylko polskich wyrobów toaletowych „DERMA“
NAJLEPSZE
PUDRY dla dzieci „Derma“, do twarzy, do włosów, po goleniu.
KREMY ogórkowe, liliowe, przeciw piegom, wysychające, konserwujące cerę.
Schampion do mycia włosów, Proszek do zębów „Derma“, Elixier „DERMA“ (woda do ust), Brylantyny i Olejki do włosów, Płyn przeciw siwiźnie, Pasta niszcząca odciski, Keratton „Derma“. WSZĘDZIE DO NABYCIA!
Fabr. wyrobów chem. i kosmet. „DERMA“ J. Porębskiego
Kraków, Podzamcze 14. — Telefon Nr. 589.

„HUMOR POLSKI“
Dwutygodnik humorystyczny polityczno-satyryczny
Do nabycia w całej Polsce
Cena egz. 4 Mk. 50 fen.

„BOCIAN“
Dwutygodnik humorystyczny
Do nabycia we wszystkich Ajencyach
Cena egz. 6 Marek

Adres Redakcyi i Administracyi
Kraków XV, ulica Kazimierza Wielkiego L. 95.

Album Legionów Polskich
Zeszyt I.
Cena 8 marek
Do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych“.

Wielkie korzyści
PP. Kupcom i Przemysłowcom
przynosi
abonowanie poniżej wymienionych w całej Polsce znanych i jedynych pism fachowych:
Tygodnik „Kupiec“ prenumerata kwart. M. 28·—
„ „Drogerzysta“ „ „ „ 28·—
„ „Przegląd włóknisty“ „ 28·—
Dwu „ „Dom gościnny“ „ „ 9·—
Zeszyty próbne wysyłamy za nadesłaniem 2 Marek.
Adres zamówień:
POZNAŃ, UL. WIELKA 10.

Drukarnia D. E. Friedleina
w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479
zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

CENNIKI BANDAŻY
przepuklinowych, Opasek brzusznych, Bandaży na żylaki nóg, Korektorów przeciw zgarbieniu. Moczników gumowych dla osłabionych na pęcherz itd. wysyła
M. L. Polaczek, Sambor.

ADMINISTRACYA Nowości Illustrow. odsprzedaje klisze cynkowe z każdego numeru po połowie ceny własnych kosztów.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.